

Wojciech Stanisławski: Walt Kowalski pływa nago

Wczorajsza galerianka dzisiejszą wiccanką – i jest mocno prawdopodobne że najnowsze dzieło Zyty Rudzkiej zostanie przeczytane (i zagłaskane) jako „powieść o wolności i hedonizmie”. Z krzywdą dla tej książki, tak świetnie napisanej i ukazującej tyle zranień.

Pisząc o najnowszej powieści Zyty Rudzkiej chciałbym się choć trochę odbić od recenzenckich laudacji, które zdążyły się już ukazać w prasie (Katarzyny Sawickiej w „Wyborczej”, Aleksandry Pakieły aż w dwóch tytułach, bo w „Newsweeku” i „Vogue”, co dobrze oddaje zwyczajową już ich jednogłośność), wybrzmieć w Dwójce i w Tok FM. Odbić – to nie znaczy sprzeciwić, tym bardziej, że nie zamierzam przeskoczyć na drugi brzeg polskiego wododziału, między krytyków rui i porubstwa (których to rekreacji na stronach „Tylko durnie..” rzeczywiście nie brakuje). „Śruba w powietrzu przez głowę, ze skarpy do rzeki”. Jak jednak zastygnąć w takiej pozycji ponad podziałami? Nawet Lida, kobieta-sprężyna, która „z kultury poważa kulturę fizyczną”, bohaterka i narratorka najnowszej, świetnej prozy pisarki, miałaby z tym problem.

Lida nie ma ... z pewnością problemu z daniem rzeczy słowa – a mamy dość okazji, by się o tym przekonać, bo podobnie jak w kilku ostatnich książkach Rudzkiej toniemy w monologu głównej bohaterki, gęstym, ciągłym, choć nie obsesyjnym. Z każdą kolejną powieścią pisarki nie mam dość uznania dla mistrzostwa, z jakim tworzy nowe związki

frazeologiczne i kalambury, jak kruszy utarte frazy, jak kuje krótkie, zwarte, mordercze zdania. Mógłbym złożyć całą recenzję z cytatów („Miał awarię zdrowotną, czasem nie trafia w słowo”; „fotele czekają, rozłożyste jak muszle, z flakami gąbki od dołu”; „Prosiak znieruchomiał, nagle cap. (...) Kotlet połknął. Po wieprzowinie było mu lepiej. Kanibal”, i moje najulubieńsze: „Wiosną pływam z kawałkami kry, gładko nie jest, to nie są delfiny”), ale to zbyt długie – prędzej czy później ukaże się słownik idiolektów bohaterów Rudzkiej, zakartkuję go na strzępy.

O, widzą Państwo? Ten rytm się udziela. Od chimer, składanek słownych i brutalizmów ważniejsza jest w tej prozie dynamika: to jest narracja, którą trzeba czytać w zwolnionym tempie, żeby zobaczyć, jak jest zbudowana, to repliki, które są szybsze od piłek tenisowych. To narracja wysokiego napięcia, całe strony jak naprężone siatki, pierścienie flippera, zawodnik MMA: tylko czeka, żeby oddać. Co tu gadać: krótka wymiana ognia.

Przeczytaj również: Dwa księżyce, dwie Chorwacje

Oczywiście, język buduje bohaterkę – i już z tych kilku cytatów widać, że Lida jest z tej samej mąki i krwi, co Wera z ostatniej powieści, co Roma z „Krótkiej wymiany ognia” i ślicznotka doktora Josefa. Twarda, antypatetyczna, tnąca jak krótką siekierką każde „ponadto” mowy. Tnie nie tylko retorykę, ale i wszelką nadbudowę: metafizyki, sentymenty, konstrukty społeczne. Rudzka to jeden z tych Tacytów, którzy wiedzą, że „nie ma / nic poza narodzinami i śmiercią nic tylko narodziny i śmierć / a wewnątrz krwawa miazga sekwoi”. Jak widać, sprawna to siekierka.

Tak, to jedna z tych bohaterek. „Całkiem odwykłam od mówienia, otwieram usta wyłącznie, by kropnąć kielicha (...). Ja do zakazów się nie stosuję. Żadnych znaków na niebie i ziemi do siebie nie biorę. (...) Mam złote serce i zły charakter. Odwrotnie gorzej”. I to prawda, odwrotnie gorzej, dlatego w literaturze i w życiu cenieni są szorstcy weredycy, a nie słodkości łgarze. Nie Krzeszowska, lecz Stach Wokulski o czerwonych rękach. Za nim cała galeria mówiących prawdę w oczy ciotek, brutalnych, ale sprawiedliwych sierżantów i zgorzkniałych lekarzy – a za rogiem Walt Kowalski z filmu Eastwooda trzaska drzwiczkami Gran Torino.

Nie sposób ich nie szanować, nie sposób nie szanować pływającej wśród kry, drwiącej z wiejskich konwencji, opiekuńczej wobec starzejącego się ojca i porzuconych psów Lidy. Nie sposób nie podzielać jej techniki panowania nad rozpaczą, rzucania grubym słowem, żeby nie wybuchnąć cienkim płaczem w obliczu śmierci. Choć rzuca nam nie lada wyzwania, skoro jej rozumienie pomocy zakłada również wręczanie bez słowa pieniędzy kobietom ze wsi, które chcą poradzić sobie z niechcianą ciążą.

Nie jest to jedyne wyzwanie dla czytelników: Rudzka funduje nam pełną śrubę z dwoma saltami, każąc Lidzie, nauczycielce wychowania fizycznego, mieszkać w bieda-sielance jak z kadrów Kolskiego czy Kusturicy, w lekko zaniedbanym majątku na wsi z dwoma partnerami. Dziś, w wieku poważnie-średnim, oferują sobie nawzajem głównie troskę, bliskość i kontemplacyjne, choć intensywne sączenie pigwówki, w przeszłości jednak („Śpimy w jednym łóżku, łączą nas różne stosunki. Musieliśmy się rozćwiczyć. Trójkąt ostry czy polarny każdy może zmajstrować. Dobrze nam w tym składzie, gramy do jednej bramki”)

dorobili się, jak można doczytać, wspólnej córki. Jest to jednak dość niecodzienna figura rodzinna, nawet jak na doświadczoną poliamorią Warszawę, i czytając żarliwe słowa zachwyty recenzentki „Newsweeka” nad formułą życia bohaterki („Nic spektakularnego, nic wywrotowego, nic, co miałyby nas wgnieść w ziemię, zszokować, zniesmaczyć (choć zniesmaczony swobodą Lidy jest w powieści ksiądz)”) myślę z uznaniem o szczelności bańki, w jakiej żyje. Wyjrzawszy z niej kiedyś, mogłaby się przekonać, że formuła „dziecka trojga rodziców” może niesmaczyć nie tylko czarnego bohatera powieści Rudzkiej: ba, sama córka, czyli Jadwiga, nie zdaje się zbyt szczęśliwa z formuły pożycia rodziców, skoro zerwała z nimi niemal relacje.

Mówiąc serio, Rudzka zostawia w tej powieści tropy umykające entuzjastkom poliamorii, a wskazujące, że mamy do czynienia z solidnym dziedziczeniem rodzinnego nieszczęścia (nie, nic nie zmusi mnie, bym użył słowa „trauma”): ze zranieniem, które bierze swój początek co najmniej w małżeństwie dziadków bohaterki, które naznaczyło dzieciństwo jej ojca i związek jej rodziców. Z drewna zaś krzywego, jak wiadomo, trudno strugać prosto: nie wiedzą tego tylko Gepettówny z „Vogue”. Ale dosyć o tym, bohater powieści nie musi być ani sympatyczny, ani dobry, by był fascynujący. Kłopot z „Tylko durnie...” mam inny.

Właściwie dwa. Jeden, mniejszy, że odczytywana ona bywa i będzie płytko i jednostronnie. Rudzka jest miarą sama dla siebie, na własną rękę doszła do swojego języka i swoich bohaterek – kobiet, które (jak mówiła kilka lat temu w rozmowie z Michałem Nogasiem) „[są] drapieżne, poranione, o życiu powikłanym, ale pełnym. Zastanawiałam się, skąd siła w kobietach, które nic nie mają. Ani wykształcenia, ani pieniędzy, ani kogoś, kto pomoże. Myślę, że mają mocne oparcie w

sobie samych”. Ale, niczym na wykresie, trajektoria jej pisarstwa weszła na styczną z kilkoma postawami czy formułami zachowań, które są współcześnie przyjmowane częściej na zasadzie sztancowanej mody niż własnej drogi. Kilku – bo można tu wymienić zarówno najpłytszą, najbardziej popkulturową formułę „młodej, niezależnej kobiety, lekceważącej konwencje i nieprzebierającej w słowach”, jak kontestatorek bardziej radykalnych, chętnych dekonstrukcji, jak wreszcie uwielbianej ostatnio figury „kobiety-wiedźmy”, szeptunki pogodzonej z naturą, rozstającej się ze swoją seksualnością, lecz afirmującą rytmy życia, etc., etc. Nie chcę zbyt łatwo wejść w rytm sarkastycznego parodiowania tej mody – ale nietrudno dostrzec, jak figurą „czarownicy” zafascynowane są zarówno wielkie aktorki, jak wydawczynie, jak dziennikarki dwutygodników dla kobiet. Wczorajsza galerianka dzisiejszą wiccanką – i jest mocno prawdopodobne (również sądząc po przytoczonych przeze mnie entuzjastycznych opiniach), że „Tylko durnie...” zostanie przeczytana (i zagłaskana) jako „powieść o wolności i hedonizmie”. Z krzywdą dla tej książki, tak świetnie napisanej i ukazującej tyle zranień.

Mniejsza jednak o recepcję, nie pierwszy to przypadek, kiedy kontrkulturowa propozycja została spłycona i skomercjalizowana. Inna rzecz, że konkluzja „wolność bez hedonizmu jest smętna i bez smaku” odrzuca inne rozumienia wolności (choćby aureliuszowe i augustynowe) z mocnym przytupem. Mocno kojarzy się on z innym, memicznym zdumieniem, że formuła „wszystkiego w życiu trzeba spróbować” częściej czemuś kończy się eksperymentami z amfetaminą i przygodnym seksem niż studiowaniem greki i wolontariatem w hospicjum. Nic to: nadal zgodzić się możemy, że smaczna jest pigwówka.

Przeczytaj również: Felietony Wojciecha Stanisławskiego z cyklu „Barwy kampanii”

W najnowszej powieści Zyty Rudzkiej zastanowiło mnie co innego, trop poboczny, dodatkowy, lecz nie dający spokoju: wątek, który rozpoczyna się od księdza.

Powieściowy ksiądz, jak można się domyślić, daleki jest od entuzjazmu wobec nadrzecznego falansteru, co w pierwszych słowach narratorki przyjmowane jest ze zrozumieniem („Ksiądz mi się nie kłania, on [we wsi] jeden, co sobie w księdzu cenię”. Pierwsze sceny z jego udziałem mieszczą się zresztą zarówno w logice powieści, co w realiach nadnarewskiej wsi. Ani jego niechęć („Niedowiarki to przy was wszystkie święte!”), ani wzmianka o jego okazałych przychodach („cały czas zgarniał”), ani nawet wzmianka (nierozwinięta) o tym, że dorobił się na parafii dzieci nie przekraczają ani granic wyobraźni, ani tradycyjnego polskiego antyklerykalizmu literackiego: o zapalczywym i nieascetycznym dobrodziejcu potrafili napisać i Sienkiewicz, i Asnyk. Trochę to banalne, ale szeroko przyjęte.

Postać księdza zostaje jednak powiązana („podobno nie dawał rozgrzeszenia”) z samobójstwami kilku nastolatków, do których doszło we wsi. Znacznie subtelniejszy, niż wzmianka o dzieciach, prztyczek („Widać, że rozkoszują księdza zabawy dziecięce” – zauważa Roch, widząc księdza puszczającego na wodzie kaczki) może się stać, wydaje mi się, że staje się (choć bardzo to cienka nitka) sugestią pedofilii. Clou zaś – to scena z ludycznego zakończenia roku szkolnego, podczas którego bohaterka zabiera głos. „Powiedziałam kilka słów. O tych, co się tu utopiły, otruły, powiesiły. O księdzu, żeby mi do kanciapy zgłaszać”. Tak weredyczka i outsiderka staje się rewolucjonistką,

wyręczającą zastraszone autorytety (policja, dyrektor szkoły). Oto początek rewolty! Już nie protest, już nie skąpanie klechy w rzece (bo i tego nie zabrakło), ale proaktywne gromadzenie dowodów! rzekłbyś – powołanie wiejskiego komitetu Strajku Kobiet.

Czy tak być nie mogło? Mogło, i w prozie, i w życiu pewnie też. Ja jednak, od lat podążając za bohaterkami Rudzkiej – niezależnymi wobec wszelkich formuł, wzorów i mód, równie wiele mających z czarownic, co z sufrażystek, co z Antygony – mam tu wrażenie pewnego kiksusu: jakby gimnastyczka potknęła się w drobiącym, baletowym biegu po równoważni, jakby w potrójnej śrubie zabrakło ćwierci obrotu, jakby ciało ciężko, niezgrabnie plasnęło o wodę.

Wojciech Stanisławski

Zyta Rudzka



Tylko durnie żyją do końca

Zyta Rudzka, „Tylko durnie żyją do końca”, Wydawnictwo WAB,
2025

Recenzje Wojciecha Stanisławskiego w ramach cyklu „Czytelnia publiczna” ukazują się co dwa tygodnie.

► **Przeczytaj wcześniejsze**

*Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa
Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury*



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego
